

s.6

HISTORIA PŁONĄCEGO POGRANICZA (37)

W Gliźnie (I)

WŁADYSŁAW STANISŁAWSKI

W CZESNYM rankiem oczekuję na autobus w Gliźnie, który przyjeżdża tutaj z Miastka, aby na małym placyku w środku wsi przy szkole nawrócić, zabrać kilku pasażerów i pojechać z nimi do wsi Ciemno, a następnie przez Tuchomie do Bytowa. Mała, spokojna, cicha wieś o długiej historii (tzw. wieś szlachecka) jakże jest dziś inna, jakże różni się od przedwojennej, kiedy nie było tutaj elektryczności. Na jej północnym skraju nad jeziorem tam, skąd przyjeżdża autobus, drogę za mykał szlaban, tuż przy moście granicznym i myślnie, po którym do dziś nie pozostało śladu. W tym miejscu nieraz spotykała się z muzyką młodzieży z Ziemni obecnego Ciemna i Gliźna, jedna i druga — kaszubska. Nieraz przejeżdżał umajony wóz drabiniasty załadowany osobami, udającymi się na przepustki na zabawy w Polsce. Spis czerwcowy w 1939 roku wykazał, że w powiecie bytowskim żyło 2 tys. osób z obywatelstwem polskim, których oddzielała granica. W Gliźnie przebiegała ona na maleńkiej rzeczce wypływającej z jeziora Kamieniczego. Placówka Straży Granicznej znajdowała się w budynku Wichra, tam gdzie dzisiaj jest sklep.

Slużbę pełniło tutaj siedmiu strażników.

Wies przytuliła się do wąskiego jeziora rynnowego, nieprzekraczającego pięciuset metrów szerokości, wijącego się jak węgorz ponad siedem kilometrów. Po obu stronach wysockie brzozi porośnię lasami z wyróżniającymi się świerkami, opadają dość stromo do lustra wody, nadając toni nie przeciętny urok. Nieraz przez to jezioro przepływały gęsi do Niemiec, ale wyszkolone psy rolników nakłaniały je do powrotu. Podobnie było z jałowkami. Dzisiaj jest to teren jeszcze nie odkryty przez turystów, chociaż ci co już tutaj raz byli — powracają.

We wsi w latach trzydziestych było 14 gospodarzy, którzy posiadali jeszcze 8 domów chałupniczych. Mieszkały w nich biedne rodziny od pracujących na roli za mieszkanie. Ponadto na wybudowanych mieszkało 9 gospodarzy i to w znacznej odległości od wsi. Tam znajdowały się też 4 domy chałupnicze. Niektóre budynki drewniane przetrwały z lat przedwojennych do dziś. Rzadko natomiast spotyka się domy kryte strzechą.

Wśród nich wyróżnia się, no wy dom gospodarza Jana Chamiera-Gliszczyńskiego, którego córka i syn niedawno jeszcze codziennie rano spieszyli

się do autobusu, jeżdżąc do szkoły zawodowej w Bytowie wraz z kilkoma innymi uczniami z tej wsi.

Obok przystanku — niski budynek z cegły typowy dla wsi pomorskiej. W nim to mieszkał jedyny folksdeutsch w Gliźnie, Bruno Erlich. Syn nauczyciela pruskiego sprzed I wojny światowej, wychowywał trójkę dzieci: dwóch synów i córkę. Starszy syn Józef uczył się zawodu kupca za ówczesną granicą, w Bytowie, u właściciela domu handlowego który wydał córki za esesmanów. Od nich to poprzez skrytego Erlicha strażnicy wydobyli informację o przygotowaniach Niemców do napadów na Polskę. Dowiedzieli się również o tych Niemcach którzy wyznaczni zostali do objęcia majątków i stanowisk administracyjnych na naszych terenach. Strażnik Wikto który mieszkał u tego Niemca doniósł o tym przełożonym. Został jednak przez dowództwo polskie wykpiony.

Erlich jak wspominał niektórzy mieszkańcy wsi — po wkroczeniu Niemców do Polski — nie był jeszcze najgorszym człowiekiem a jeśli działał na niekorzyść Polaków to tylko pod presją żony zajętej hakatystki która przed wojną nigdy nie rozmawiała po polsku i szczerze nienawi

dziła Polaków. Przed żoną Erlich tał niektóre uzyskane wiadomości o Kaszubach. Dwukrotnie wyciągnął z więzienia gestapo swojego polskiego kolegę Albina Mroczek-Gliszczyńskiego. Wiedział na wet że w domu tej rodziny ukrywali się Polacy oraz o istniejącym tam bunkrze. Gdy Albin przebywał w więzieniu to nawet posyłał mu paczki.

Erlich przyjaźnił się z nauczycielem Słomińskim bronił go i usprawiedliwiał przed gestapo przyczynił się do jego zwolnienia z aresztu w Bytowie. Dopiero gdy się o tym dowiedział Jan Domisz z Lipnicy spowodował jego powtórne aresztowanie przez gestapo w Chojnicach na które już Erlich nie miał wpływu. Później jednak Erlich zdradził bunkier z partyzantami, za co między innymi już po wojnie został skazany przez Sąd w Chojnicach na trzy lata pozbawienia wolności.

Do Gliźna szedłem wygodną szosą z Borzyszkowych. I nie żałuję. Nagrodą były piękne krajobrazy na czterokilometrowym szlaku. Starsi mieszkańcy pamiętają jak przed wojną brnęło się tutaj w piachu.

W Borzyszkowych odwiedziłem sołtysa Józefa Borzyszkowskiego który mieszka przy końcu wsi skąd widać część wielkiego jeziora. Kaszubska wieś Borzyszkowy dawniej wyróżniała się liczną drobną szlachtą. Najczęściej powtarzały się takie nazwiska jak: Borzyszkowski Ciemiński, Lipiński i Zabiński. W dwudziestym wieku wieś liczyła 32 domy, w których mieszkały 324 osoby.

W Borzyszkowych była parafia, a zabytkowy kościół drewniany z 1721 roku był chlubą wsi. Przy nim to grupowali się miłośnicy towarzyswa śpiewaczego, a nadawał im ton znany organista Franciszek Kapiszka do dziś mile wspomniany przez Kaszubów. Obecnie mieszka w Chojnicach.

W czerwcu 1983 roku starym życiem sołtys, od którego przodków wywodzi się nazwa wsi, leżał chory w łóżku. Z przyjemnością jednak dzielił się wiadomościami z historii ziemi kaszubskiej. Jak większość tzw. eingedojczowanych Pomorzaków, zaciągnięty został do Wehrmachtu. Ale du go się tym Niemcy nie naciężyli. Razem z Konradem Binaki z Konarzyn uciekli do aliantów i walczyli przeciw Hitlerowi.

Borzyszkowski pamięta tujejszy Komisarjat Straży Granicznej. Mieści się niedaleko jeziora w murowanym budynku rolnika Szczepana Prądzińskiego. Funkcję kierownika sprawował tutaj niechlubny komisarz zwany przez Kaszubów Pańczo-Jolo, a po nim również nieulubiany Ludwik Weigel.

W archiwum znalazłem dokumenty z tamtego okresu ilustrujące sytuację społeczno-polityczną na Gochach. Komisarz Weigel pisał m. in., że współpracownicy odbywała się tylko na polu oświatowo-kulturalnym. Natomiast w tepieniu przestępstw granicznych nauczycielstwo bierze słaby udział, zaś od pracy politycznej zupełnie się odcina. Wyjątkiem jest nauczyciel Słomiński z Gliźna, który jest zarazem wójtem. Weigel uważał, że nauczycielstwo było pod wpływem księży, stało się zaabsorbowane pracami Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży.

OCENĘ taką należy przyjąć z wielką rezerwą, szukając równocześnie źródeł tego zjawiska. Tamtejsi mieszkańcy stale skarżyli się na komisarza Weigla. Pisali, że od momentu przejścia komisarzatu ustosunkował się bardzo nieżyczliwie do ludności pogranicza. Zarzucano mu też, że do podwładnych odzywa się ordynarnie. Zresztą nie był to jedyny protest ludności przeciwko kierownikowi komisarzatu Straży Granicznej. Komisarze nie zawsze właściwie odnosili się nie tylko do miejscowej ludności, ale słynęli również z poniżającego traktowania strażników. Zastrzeżenie wnieszone w 1936 roku do poprzedsika Weigla, a wstęp do kierownika Kozakiewiczca. Ten znów strzelal z procy gumowej do przechodzących pod jego oknami osób oraz wyzywał ich od chamów, szwabów itp. Kozakiewicz znów usprawiedliwiał się częstą i wyrafinowaną prowokacją ze strony żałących się Kaszubów.

Na tutejsze stosunki rzutowała również widoczna od zarania państwa polskiego polityka. Na stanowiska kierownicze mianowano przybyszów z byłych terenów wschodnich, szczególnie z byłego zaboru austriackiego, rekrutujących się z byłych legionistów Pilsudskiego, którzy spychali miejscową inteligencję z zajmowanych przez nią stanowisk kierowniczych. Powstały więc, wręcz wrogie nieraz, na stawienia ludności pomorskiej w stosunku do tzw. Galicjanów. Walka klasowa i dzielnicowa, spory o fotele — trwały właściwie przez cały czas Polski międzywojennej. Obsadając stanowiska kierownicze komisarzatu zasady tejsieścię przestrzegano. Nadto, obsada szeregowych funkcjonariuszów Straży Granicznej, wyjątkowo rzadko rekrutowała się z Kaszubów, co nie było przyjmowane z ufnością przez miejscową ludność.

(c.d.n.)



Goście weselni na ślubie Anieli Kozłowskiej w Borowym Młynie.

repr. Jan Maziejuk